

Emocje zapisane w dźwiękach



Autor: H.

DUTKIEWICZ

O mazowieckich inspiracjach z Arturem Dutkiewiczem, pianistą i kompozytorem, ambasadorem polskiego jazzu w świecie, rozmawia Maciej Proliński.

Maciej Proliński: Muzykę się tworzy, w muzyce się uczestniczy, muzyką się żyje. A czym ona jest dla Pana?

Artur Dutkiewicz: Dla mnie to są emocje zakodowane w dźwiękach, które spajają artystów i słuchaczy: w jednym miejscu i w jednym czasie. Muzyka wymaga obecności bycia razem. A koncert to jest nasza wspólna celebra, to jest ludzka potrzeba od prawieków. Jeżeli chodzi o mnie, to muzyka zawiązała mną w sposób naturalny, intuicyjny, nie poprzez jakieś intelektualne spekulacje. To moje przeznaczenie. Jest to sposób na połączenie z samym sobą, po to żeby połączyć się z ludźmi i całym wszechświatem.

Mówi się nieraz, że muzyka to najbardziej abstrakcyjna ze sztuk. Pan też tak uważa?

Bo jest przekazywaniem tego, czego nie widać, za pomocą tego, co słyszać. Muzyka, niezależnie od gatunku, to język bardzo uniwersalny, choć wieloznaczny. Jest też przy tym najłatwiejszym sposobem porozumiewania się z drugim człowiekiem. I nie na poziomie głowy tylko na poziomie serca. Jest językiem kultury danego kraju, ale i przestrzenią do wielu międzykulturowych spotkań – do dialogowania i współpracy. Nie ma w tym przypadku w zasadzie żadnych ram, które

mogłyby limitować daną treść, a i istotę i głębię przekazu. Oczywiście, już na poziomie warsztatowym można bardzo dokładnie wskazać i opisać rozwiązania kompozytorskie, zamysły, akordy, melodie, harmonie, itd. Można też tego wszystkiego nauczać, nauczyć, można to ćwiczyć, wyćwiczyć, poznawać i przyswoić. Ale umiejętności bez autentyczności czynią sztukę choć perfekcyjną to jednak pustą, miałąką. Moim zdaniem sztuka w ogóle, nie tylko muzyka, rodzi się wtedy, kiedy pojawia się magia, gdy wydarza się to coś, czego tak do końca nie potrafimy zdefiniować.

Czy da się więc w ogóle opowiadać o muzyce?

Każdy ma swoją interpretację muzyki i inaczej o niej opowiada. Dla mnie opowiadanie o muzyce jest jednak rzeczą wtórną, na drugim planie. Poznanie intelektualne to puste słowa, a ich znaczenia trzeba doświadczyć. Nie dotyczą jej istoty. Muzyka to doświadczenie oddziałujące na wrażliwość. Mówić o muzyce to tak, jakby czytać jadłospis nie smakując potrawy. Najważniejszy jest ten moment, kiedy muzykę się tworzy – i ona, jak nasze myśli, pojawia się nagle, gdzieś znikąd. A potem te myśli są artykułowane przez mowę przybierając kształt dźwięków.

Muzyka chyba bardzo dobrze radzi sobie z naszą duchowością?

„Moja muzyka jest duchowym wyrazem tego, kim jestem – mojej wiary, mojej wiedzy, mojego istnienia” – mówił John Coltrane. Gdy słuchamy nagrań Coltrane'a, to słyszymy, że nie jest to wyznanie w żadnej mierze deklaratywne albo przesadzone. Jego muzyka to jak czyste źródło, rozpuszcza gadającą głowę, otwiera okno na doznanie czegoś spoza tego świata i budzi duszę, unosi poza czas i zostawia nas lepszymi. Ludzie przychodzą na koncerty, słuchają i potem mówią, że to było dla nich przeżycie duchowe. Co to znaczy? Jeśli muzyka podczas koncertu jednoczy wewnątrz ludzi, to jest duchowość. Nawet badania naukowe dowodzą, że przy jednej muzyce kwiaty więdną, a przy innej kwitną... Emocje negatywne zamieniają się w pozytywne. A harmonia wewnętrzna buduje wartości, które wnoszą nas w świat, a nie te, które dołują. Dobra i autentyczna muzyka, jak dobry uczynek, wznosi. Po prostu. To dobre skojarzenie... Powoduje, że oczyszczamy się wewnętrznie i jesteśmy poza czasem, no właśnie nie patrzymy co chwilę na zegarek który przypomina, że czas pędzi obok nas i nas wchłania.

Muzyka pojawiła się bardzo wcześnie w Pana życiu, czyli już w domu rodzinnym...

Miałem dobrą szkołę już w domu. W dzieciństwie grałem na różnych instrumentach. Z bratem bawiliśmy się udając muzykantów wiejskich, grając na garnkach. A fortepian od dzieciństwa był magnesem, dawał też największe możliwości pełnego wejścia w świat muzyki. Mój tato był nauczycielem muzyki w szkole podstawowej i średniej, prowadził chóry. Z tatą graliśmy klasykę – utwory Bacha, Mendelсона, Schuberta. On na skrzypcach, ja na fortepianie. Z kolei mój dziadek grał muzykę ludową. Cała rodzina mego taty, wraz z dziadkiem, grywała na różnych instrumentach. Tato nauczył mnie grać na akordeonie, ale w wieku 11 lat zacząłem brać systematyczne prywatne lekcje gry na fortepianie u profesor Zofii Lipińskiej. Mówiliśmy na nią „hrabina”, bo była przedwojenną dziedziczką, wywodzącą się ze szlachty polskiej. Rozmawiała z mężem po francusku. Pod jej okiem grałem pierwszy raz Mazurki Chopina. Pani profesor, uważając mnie za bardzo zdolnego, kazała mi grać ich całe mnóstwo i co parę dni kolejne, nowe.

Nie byłem w stanie tak szybko ich przyswoić, więc na lekcjach dogrywałem to, czego nie umiałem. Potem dowiedziałem się, że to moje swobodne dogrywanie jest improwizacją. A najlepszą formą, żeby się w niej spełniać, jest jazz.

A obecnie chętniej Pan ćwiczy?

Nie ćwiczę bardzo dużo, ale staram się robić to systematycznie, zazwyczaj przez dwie, trzy godziny dziennie.

Nazywany jest Pan ambasadorem polskiego jazzu w świecie.

Któryś z dziennikarzy jazzowych kilkanaście lat temu nazwał mnie tym mianem. I tak już zostało. Jest mi bardzo miło, aczkolwiek nigdy się o to jakoś specjalnie nie starałem. Podróżując po świecie i po Polsce dzielę się moją muzyką. Znajduję w tym ogromną przyjemność, a jednocześnie poczucie spełnienia.

Co by Pan powiedział tym, którzy już na słowo jazz reagują alergicznie?

Jazz jest dla mnie oazą, w której można się czuć naprawdę wolnym. Improwizacja jest pełnym zanurzeniem w chwili bieżącej i łączy materię współczesnych środków wyrazu z bogactwem wewnętrznej przestrzeni emocji. Kluczem do jazzu jest wrażliwość, ale właściwie to nie wiemy, dlaczego jedni mają wrażliwość na ten gatunek muzyki, a inni nie mają jej wcale. Trudno jest na siłę tych drugich przekonywać. Mówi się nieraz, że jazz jest nieprzystępny. Tymczasem podczas koncertów sale są pełne – czy to w Australii, czy w Brazylii, czy Polsce.

A fortepian to chyba od lat nasza polska specjalność...

Tak jest! Od wielu lat, również w pianistyce jazzowej. Kastaniety są hiszpańskie, gitara – włoska, a fortepian – polski. Mamy w naszym pejzażu kultury bodaj już trzecie pokolenie naprawdę wielce utalentowanych pianistów jazzowych.

„Nie węgiel, nie ropa, ale kultura jest naszym najważniejszym zasobem” – przypomniała nasza noblistka Olga Tokarczuk. Czym jest dla Pana promocja Polski poprzez muzykę?

Uważam, że polska kultura ma mnóstwo wielkich postaci często nieznanym albo niewypromowanym. Weźmy na przykład tak genialnego pianistę jak Józef Hoffman, który bardziej jest znany jako wynalazca, niż pianista. Ostatnio po 100 latach dopiero powstał o nim film. A Darek Oleś, wspaniały gigant kontrabasowy koncertujący w grupie Pata Metheny'ego. I ta elita to jest właśnie najlepszą polską wizytówką w świecie. A kultura jest żywiołem, w którym się rodzimy, rozwijamy, spełniamy swoje życie. Uznajemy to życie za godne, gdy mamy poczucie spełnienia. Bez kultury tej pełni nie osiągniemy nigdy. Pośrednio wpływa na jakość charakteru człowieka, bo dla mnie charakter jest głównym kryterium i stąd się wszystko zaczyna. Kultura

jest czymś, co nas łączy, a jednocześnie ciekawie różnicuje. Z kolei ta różnica nieraz nas fascynuje. Ludzie na całym świecie podobnie odbierają muzykę, zawsze ciekawi są czegoś, czego nie znają. I na pewno wyczuwają szczerłość, od razu – bezpośrednio. Bez dyskusji. Wewnętrznie i zewnętrznie.

Przez ćwierć wieku współtworzył Pan kwartet Tomasza Szukalskiego, jednego z największych polskich artystów jazzowych. Jak wspomina Pan ten okres?

Zawsze marzyłem, żeby z nim grać. Oddziaływał na mnie, jeszcze zanim go osobiście poznałem. I to młodzieńcze marzenie się spełniło. Dużo się od niego nauczyłem. Dopiero teraz powoli zdaję sobie sprawę, z jakiego formatu muzykiem grałem i ile dobrego z tych spotkań wyniosłem. To był geniusz saksofonu. A poza tym przyjaźniliśmy się. Tomek był bardzo wesołym, pozytywnym i niesłychanej pasji człowiekiem. Jak się do czegoś podpałał, to po prostu go rozsadzało. W czasach słusznie minionych na dywaniku politycznej poprawności w Pagarcie, zapytany jakie ma poglądy, bo tak jeździ raz na wschód na zachód, powiedział: Nie jestem ani kapitalistą, ani komunistą. Jestem saksofonistą.

Od lat prowadzi Pan własny zespół Artur Dutkiewicz Trio i wykonuje solowe recitale. Józef Skrzek przyrównał kiedyś solowe występy do publicznej spowiedzi. Nie za mocne porównanie?

Jest to najbardziej wymagające granie. Zawsze przed samym wyjściem na scenę staram się oczyścić ze wszystkich naleciałości umysłu, z wszystkich planów i koncepcji, i zacząć od tej przysłowiowej „czystej kartki papieru”. Intelakt na pewno pomaga w czasie procesu twórczego, ale już na scenie przeszkadza, by iść za głosem serca i emocji. A taką ścieżką chcę podążać, również podczas solowych koncertów. Jeden z takich właśnie solowych koncertów zagrałem w maju tego roku w Katedrze St. Gilles w Edynburgu. Wyjątkowa publiczność, gorące przyjęcie i długie rozmowy pokoncertowe! I w dodatku do dyspozycji miałem taki sam model Steinway’a, jak ten, na którym ćwiczę w domu. Czułem się więc jak u siebie.

W przeciwieństwie do innych polskich jazzmanów, nie uczył Pan Roku Chopinowskiego parafrazami muzyki mistrza, ale stworzył własne, autorskie mazurki i gra je od USA, przez Europę, Afrykę, Chiny, po Australię i Nową Zelandię.

W napisanych i improwizowanych przeze mnie mazurkach chciałem przywołać to, co ponadczasowe – najlepsze odczucia z lat dzieciństwa. Pisząc je, miałem gdzieś z tyłu głowy wielkie dziedzictwo Chopina czy Szymanowskiego. To coś, co jest organicznie związane z tym gatunkiem. Ale chciałem, by była to żywa muzyka chwili, choć oczywiście sporo w niej mikromotywów i inspiracji, nie tylko polską muzyką ludową, ale też jazzowym kanonem. Myślę, że można się w nich zasłuchać jak w Mazurku „Trane” czy Mazurku Księżycowym i ulecieć w

nieznane. Można tańczyć i przytupywać jak przy Mazurku Mazowieckim. Pierwsze mazurki napisałem na początku lat 90. Później postanowiłem stworzyć cały cykl. Kilkanaście lat temu nagrałem z nimi płytę solową. Do dziś lubię ten rytm na trzy czwarte. Dobrze mi się w nim gra i improwizuje. Mnożą mi się te mazurki, mam też kilka wciąż nienagranych. Lubię je łączyć z innymi stylami muzycznymi, niekiedy podczas współpracy z innymi artystami pochodzącymi z Polski, a niekiedy z odmiennych nam i odległych kultur. Tak się ostatnio działo podczas koncertów w duecie z Ghatamem Ghiridhareem, hinduskim mistrzem ghatamu, glinianego instrumentu perkusyjnego. Takim spotkaniem były także moje występy z zespołem Janusza Prusinowskiego, wykonującym najbardziej źródłową polską muzykę ludową. Grałem też mazurki z muzykami afrykańskimi w Etiopii, czy Kenii. Tamtejsi muzycy mówili, że podobne rytmy są obok w Ugandzie, czyli bardzo szybko znaleźliśmy wspólny język.

Janusz Prusinowski, skrzypek i badacz folkloru, powiada, że dobry muzyk nie zagra mazurka dwa razy tak samo. Ale to przecież charakteryzuje również dobry koncert muzyka jazzowego...

Tak. Czasami nie wiemy, w którą stronę w tych Mazurkach zawędrujemy, bo głównie się improwizuje mając z tyłu głowy mazowieckie rytmy. I to również powoduje jakieś trudne do opisanie, specyficzne napięcie, które nas przy tych dźwiękach trzyma.

Związał Pan swoje życie z Mazowszem. Jak bardzo nasz region może zainspirować artystę?

Mazowsze inspirowało od lat, dlatego na płycie „Mazurki” nagrany jest mój Mazurek Mazowiecki. Pamiętam jak jego pląsający rytm na recitalu w ogrodzie botanicznym w Singapurze spowodował, że na scenę wyszedł legwan, czyli taki mały smok wawelski. Nagrałem też teledysk z mazurkiem bielańskim, który kręciliśmy w siedmiu miejscach na warszawskich Bielanach. Jest w Warszawie obszerna przestrzeń, która wyznaczana jest przez tak istotne miejsca, jak kościół Świętego Krzyża, gdzie spoczywa serce Chopina, Muzeum Fryderyka Chopina na Tamce z jego ostatnim fortepianem, Narodowy Instytut Chopina – nowoczesne miejsce przy jednoczesnym poszanowaniu obiektu historycznego, zrewitalizowany nie tak dawno Dworek w Żelazowej Woli – miejsce urodzenia Chopina przywołujące ducha epoki. Ta przestrzeń wzbogaca naszą rzeczywistość o trwałe elementy, pomagające zachować żywą pamięć o tym genialnym kompozytorze. Wizyta w każdym z tych miejsc pobudza wyobraźnię, wywołuje uczucia, które później przybierają kształt dźwięków. Natura, mazowiecki pejzaż z wierzbowymi. Nawet jeśli ktoś uważa, że dźwięk sam wszystko mówi, to jednak dookoła tego dźwięku zawsze „coś jest”...

Niezwykajne, a być może nieznane wciąż szerzej miejsce na Mazowszu stało się też inspiracją do Pana najnowszego projektu – „NOWOSIELSKI Audiovisual Misterium”.

Jakiś czas temu odwiedziłem kościół pw. Opatrzności Bożej w Wesołej, w którym jest wiele ikon Jerzego Nowosielskiego, wybitnego malarza i rysownika, scenografa, teoretyka sztuki i filozofa.

Patrząc na nie miałem jakieś pierwsze wewnętrzne odczucie, że chciałbym tam zagrać koncert z muzyką bardziej wyciszoną i medytacyjną niż taką, jaką gram na co dzień. Po tym wydarzeniu zainteresowałem się samym Nowosielskim. Sporo czytałem i dowiadywałem się o tym genialnym artyście. Nowosielski mówił m.in., że przez ikonę odwołuje się do czegoś, co jest większe od niej samej, i że w jakimś sensie później traci się z nią kontakt... I coś takiego, co on tak precyzyjnie opisywał wydarzyło mi się właśnie tam. Oniemiałem z zachwytu. Rok 2023 ogłoszony przez Sejm RP Rokiem Nowosielskiego zdopingował mnie potem do połączenia dźwięków z tymi obrazami, które „wychodzą z ram”...

Tomasz Stańko przypominał, jak bezcenną rzeczą w muzyce jest oszczędność. Jest ona jedną z wielkich, tajemnych bohaterek tego projektu.

Muzyka składa się z dźwięku i ciszy. Im bardziej wydłuża się ciszę, tym bardziej wchodzi się w tęsknotę za dźwiękiem. Muzycznie opowiadamy tu o czymś, co jest transcendentne. Samo przeżycie, doświadczenie ikon Nowosielskiego to był dla mnie mocny impuls – emocjonalny i artystyczny – który zaczął budować moją wrażliwość od wewnątrz i stworzył mnie gotowym, by pójść w tym właśnie kierunku, i pomyśleć o odnalezieniu mojej muzyki w kontekście tej narracji. Podczas koncertów gramy pięć medytacji. Tematy pojawiają się na początku, a potem następuje nasza przestrzenna improwizacja w trio. Utwory trwają po kilkanaście minut, dlatego ważne jest utrzymanie odpowiedniej narracji na dłuższej płaszczyźnie. Przy tego rodzaju doświadczeniu chodziło mi przede wszystkim o to, żeby muzyka była jak najprostsza, żeby nie było w niej przerostu formy nad treścią, by była to po prostu rozmowa trzech muzyków.

W sekrecie sztuki Nowosielskiego odnalazł Pan swoją tajemnicę?

Gdybym poczuł, że te dzieła mnie przerastają, odłożyłbym to i się tym nie zajmował. Ale w pewnym momencie poczułem, że warto podjąć próbę... Nowosielski potrafił opowiedzieć historię w kilku prostych, genialnych pociągnięciach pędzla. W sposób lapidarny, a jednocześnie piękny.

I takie też były muzyczne inspiracje w tym przypadku?

Znajdowałem je w twórczości mistrzów z kręgu polskiej i światowej muzyki odwołującej się do sfery sacrum, takich jak m.in. Henryk Mikołaj Górecki czy Komitas, kompozytor ormiański. Dużo nauczyłem się od Roberta Pożarskiego, który był głównym polskim kantorem chorału gregoriańskiego. Moim zamierzeniem było przenieść na fortepian sposób wykonywania melizmatów wokalnych i tę ekspresyjną wokalną narrację. Z kolei słuchając długich, powolnych rag hinduskich i grając z muzykami-tablistami z tamtego kręgu kulturowego, uczyłem się, jak przetransponować szczególnie rodzaj energii, który oni przekazują. Zamykamy ten koncert pogodnie i wyciszająco indyjską, starożytną mantrą „Om Namo Bhagavate”. Ale tę mantrę gram, tak jak mazurki, po swojemu. To, co chciałem w tym finale osiągnąć, to medytacyjność, spokój, beczasowość.

Podczas tych koncertów wyświetlane są zsynchronizowane z

dźwiękiem, tworzone „na żywo” kolaże i wizualizacje z fragmentami obrazów Nowosielskiego w formie wielkoformatowych videoprojekcji. Ale w żadnej mierze nie jest to „dodatek do muzyki”!

Z projektem występujemy w miejscach, które mają warunki do tego, żeby pokazywać również wizualizacje – w teatrach czy centrach kultury. Występowaliśmy m.in. w Mazowieckim Instytucie Kultury w Warszawie, czy Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia” w Radomiu. Na kilku projektorach wyświetlane są kolaże obrazów Nowosielskiego, które otaczają nas i publiczność z różnych stron. I warto dodać, że są to kolaże tworzone przez fana Nowosielskiego, a również artystę-malarza – Andrzeja Wąsika. On improwizuje do tego, co gramy na scenie. Gramy za każdym razem inaczej, a on wizualnie podkreśla to, co robimy. Malarz podąża za muzyką. My zaś podążamy za malarstwem. Rodzi się wielostronna synergia.

Czy koncerty zostaną zarejestrowane?

Chcemy to zarejestrować, nagrać program telewizyjny, być może wydać DVD. Mam nadzieję, że to nastąpi. Na razie powstaje film dokumentalny o tym zdarzeniu.

Artur Dutkiewicz, pianista jazzowy i kompozytor. Nazywany „ambasadorem polskiego jazzu”. Koncertował w ponad 70 krajach świata. Laureat wielu konkursów muzycznych. Finalista Thelonious Monk International Competition w Waszyngtonie. Jako pierwszy polski muzyk miał swój recital na MIDEM w Cannes w 1988 r. Odznaczony srebrnym medalem „Zasłużony Kulturze. Gloria Artis”.

UWAGA

Informacje opublikowane przed 1 stycznia 2021 r. dostępne są na stronie archiwum.mazovia.pl